



LESZEK RYMAROWICZ, IWAN ZEŁENCZUK,  
JAROSŁAW ZEŁENCZUK

## Połaħna – Stanisława Vincenza przewodniczka po huculskiej duszy

*...raj na ziemi jest tam, gdzie ciągle szumi Czeremosz,  
a wokół stoją, jak Boże pomniki, cudne góry...*

Stanisław Vincenz

Trudno wyobrazić sobie tak głębokie wniknięcie, a wręcz wrośnięcie Stanisława Vincenza w huculską duszę, gdyby nie wpływ, jaki wywarła na kształtowanie osobowości, światopoglądu i spojrzenia na otaczający świat przyszłego pisarza jego niania – huculska opiekunka Połaħna Słypeńczuk-Rybeńczuk. To ona także zapoznawała Stanisława Vincenza jako pierwsza z huculskimi tradycjami oraz sprawiła, że językiem jego dzieciństwa była gwara huculska. W wyobraźni pisarza utwory poświęcone Huculszczyźnie istniały najpierw w języku ludowym Połaħny, dopiero później, nieraz bardzo żmudnie i wieloetapowo transponowane były na język polski.

Jak pisał sam Vincenz:

Chcę wspomnieć tu wcale ważny dla mnie szczegół, że karmicielka mojej Matki, a moja niania Połaħna Słypeńczuk, zamężna Rybeńczuk z osiedla Tarnoczka w Krzyworówni wywarła na mnie największy wpływ, jaki na dziecko można wyrzucić.

Przed wszystkim w dziedzinie języka. W okresie, kiedy zacząłem się uczyć po francusku, a miałem z tym niemałe trudności, upominała mnie bardzo sugestywnie: „Sze budesz maty czjes howoryty panskymy jezykamy, a teper hovory po ludsky. Taj pamiataj donyku, abys nykoły ludskoho jezyka ne zabuw!”

Stanisław Vincenz, podsumowując rady dawane mu przez nianię Połaħnę, pisze: „...wynikiem tego, że posłuchałem mojej niani Połaħny, jest książka *Na wysokiej poloninie*, bo szczerze mówiąc, zanim jakąś stronę napisałem, obmyślałem ją w języku ludzkim”<sup>1</sup>.

I gdzie indziej: „Mój język dzieciństwa nie jest macierzysty, tylko nianiowaty, tj. Połaħny, ukraiński. Kiedy jakiś głos wewnętrzny dyktuje mi, co mam napisać, to zawsze w języku niani”<sup>2</sup>.

<sup>1</sup> Lozanna 1.10.1966 r., archiwum SV, sygn. 17658/II

<sup>2</sup> I. Vincenzowa: „Rozmowy ze Stanisławem Vincenzem”, *Regiony* 1996, nr 1, s.130.

Niestety, nie dysponowaliśmy praktycznie żadnymi informacjami biograficznymi dotyczącymi tej tak ważnej dla twórczości autora *Na wysokiej poloninie* postaci, także dotychczas wydane publikacje biograficzne Vincenza poprzestawały jedynie na tych kilku cytowanych wyżej wypowiedziach.

Tym ważniejsze dla wiedzy „vincenzologicznej” są ustalenia dokonane ostatnio przez współautorów niniejszego artykułu, Iwana i Jarosława Zelenczuków z Krzywiorówni, którzy zestawili informacje uzyskane z dwu niezależnych źródeł – wywiadu terenowego przeprowadzonego przed laty na Huculszczyźnie oraz kwerendy w księgach parafialnych Krzywiorówni.

Otóż ów respondent sprzed lat Mychajło Płytko Herasymów (ur. 1907 r.) opowiedział, iż jego babka Julia Rybasiuk Płytko była nianią Władysława Przybyłowskiego i wiedziała wiele o rodzinie Przybyłowskich. Wspominała, że Połahna Tymotiukowa służyła na dworze Stanisława Przybyłowskiego (na Carynie), wykarmiła jego córkę Zofię Przybyłowską, a potem była także nianią jej syna – Stanisława Vincenza. Mamy więc tutaj całkowitą zgodność ze wspomnieniami samego Vincenza.

W księgach parafialnych parafii pw. Rізdwa Preczystoj Bohorodyci w Krzywiorówni zapisano natomiast, iż Połahna Słypeńczuk Rybeńczuk Tymofijewna urodziła się 15 października 1839 r. w Krzywiorówni (przysiółek Gaszpariwka). Jej ojcem był Tymofij, matką Maria Hotycz. Połahna miała rodzeństwo: brata Emiliana (ur. 1842 r.) i Iwana (ur. 1843 r.). Wiosną 1856 r., w wieku 17 lat, wyszła za mąż za 40-letniego wdowca Wasyla Słypeńczuka z Krzywiorówni. W małżeństwie tym miała troje dzieci: Annę (ur. 1862 r.), Fedora (ur. 1864 r.) i Marię (ur. 1867 r.). W dniu 11 czerwca 1867 r. zmarł na tyfus mąż Połahny, tak więc w wieku 28 lat pozostała wdową z trójką dzieci. Już jako wdowa Połahna żyła w Krzywiorówni w rodzinie swego szwagra Iwana Słypeńczuka. Po pięciu latach, w wieku 33 lat urodziła jeszcze syna – Zacharego Słypeńczuka, który zmarł w 1910 r. w Bystrzcu. Obejmując obowiązki niani dzieci Zofii Przybyłowskiej i Feliksa Vincenza, co miało miejsce, gdy miała ok. 50 lat, zamieszkała w domu Vincenzów w Słobodzie Rungurskiej. Przeżyła 67 lat, zmarła 26 marca 1906 r. (Stanisław Vincenz miał wówczas 18 lat) i pochowana została w Słobodzie Rungurskiej.

Pewne wątki rodzinne, a także opis wyglądu i cech charakteru niani Połahny uwiecznione zostały również na kartach epilogu do *Na wysokiej poloninie*, czyli „Kronikach stannicy górskiej”. I znajdujemy tam także wyjaśnienie, że powodem pojawienia się Połahny na dworze Przybyłowskich była jej tragedia rodzinna — mówiąc współczesnym językiem, była ofiarą przemocy domowej. Stanisław Vincenz pisze, iż była ona jedną z 14 kobiet, które różne koleje losu związały z dworem, żadna jednak nie przyszła tam z zamiarem służenia. Taka służba dla Hucułki byłaby, przynajmniej w owe czasy, poniżeniem. Geneza służby i ustosun-

kowanie się do służby u każdej kobiety były inne, odrębne, u każdej były połączone z jakąś przygodą. Wspólne było u nich tylko to, że dwór krzywiorówniański był dla nich miejscem bezpiecznym, był schronieniem od różnych prześladowców. Połahnę np. jej własny mąż przywiązywał do swołoka (*belka podsufitowa* — *przyp. LR*) za nogę i tak wiszącą bił rzemieniem z nieuzasadnionej zazdrości albo po prostu z fantazji. Jak wspomina Vincenz:

— Doskonały na opryszka, zapewniała, jakby z uznaniem, Połahna. Uciekla na „pańskie” do dworu, z dzieckiem przy piersi. Więcej do męża nie wróciła. Opiekowała się pozostawionymi dziećmi, ale z daleka. Zwłaszcza, że jak zapewniała, syn poszedł w ślady ojca: opryszek doskonały!

We dworze Połahna stała się później po prostu członkiem rodziny. Ale chociaż, jak powiadano, żyła w pańskim stanie, nie chciała mówić pańską mową i za nic w świecie nie włożyłaby na siebie żadnej części stroju pańskiego, uważałyby to za obrazę swego stanu, niemal za hańbę.

— Nie jestem przebranką jakąś, jestem gazdynia.

Nawet dzieci pańskiego rodu systematycznie rutenizowała, kazała im mówić mową ludzką, byle nie pańską. Oddana, wierna, bezwzględnie uczciwa, uczciwa aż do jakiejś zazdrosnej gorliwości, sucha, drobna i delikatna Połahna była przewrażliwiona, a nawet obraźliwa. Jeszcze po latach czterdziestu zdarzało się, że trzeba było dyplomatycznie i przemyślnie przeproszać Połahnę.

Jedno z traumatycznych wspomnień z dzieciństwa pisarza zawiera także opis zimnej krwi Połahny, dzięki czemu może nie doszło wówczas do tragedii:

Jeden z dalszych zakazów brzmiał: „Nie wolno od razu łykać tych ogromnych, twardych, czerwonych cukierków. Trzeba je ssać długo, rozgryzać i łykać ostrożnie”. W rezultacie Siuna [tak w dzieciństwie zwano Stanisława Vincenza — *przyp. LR*] tak długo łykał cukierki, aż się jednym udławił. Dławił się nim przez dobre kilka minut. I trzęśli nim potężnie, i bili w kark, by cukierek wyskoczył, bili tak mocno, jakby mimo woli teraz karcili za te wszystkie przekroczenia licznych zakazów. I chcąc mu wyciągnąć cukierek z gardła, podrapali mu podniebienie tak, że potem przez kilka dni nic nie mógł przełknąć prócz mleka. Nic nie pomagało. I kto wie, co by było, gdyby nie przyszła z bardzo wielkim glińnianym, polewanym saganem pełnym wody sama niania Połahna. Powiedziała: „Pyj synoczku, zaraz bude dobre”. I zaraz cukierek dał się przełknąć. Naprawdę coś ciemnego powiało od tej przygody z cukierkiem: żeby tak wszyscy dorośli stali bezradni, zdrętwieli ze strachu! A tu nie daje oddychać. Ten dobry łaskawy świat nie dla ciebie. Dziwna niesamowita sprawa.

Może dziś budzić zdziwienie, że przestrogi i pouczenia prostej, niepiśmiennej Huculki mogły być tak ważne dla przyszłego pisarza, nawet w wieku, w którym z definicji nie uznaje się żadnych autorytetów. Oto fragment wspomnień Vincenza, obejmujący czasy, gdy po raz pierwszy wyjeżdżał na nauki do gimnazjum w Kołomyi:

Pamiętał natomiast dokładnie przykazania niani Połahny, obwieszczono mu przed wyjazdem. Nie wiadomo jakie poglądy miała niania Połahna na klasyfikacje i system nauk. Nie ujawniała ich dotąd. Jednak przed samym wyjazdem Siuna do szkoły odprowadzając go już do pojazdu, wzruszona może, że „dziecko” jedzie, kto wie między jakich zbójów, chcąc pokryć to wzruszenie, a może jeszcze na chwilę zatrzymać chłopca, nakazywała mu wcale długo, wstrzymując płacz:

— Ucz się, syneczku, oj ucz się! Po Bożemu się ucz i po ludzku. A niechby i po pańsku! Ucz się po chrześcijańsku, ucz się po żydowski! A po katolicku i po turecku czemuż by nie? I po lutersku tak-

że. Ucz się po polsku dobrze i po „taliańsku” jak trzeba i po „chrańcusku”, jak głowy starczy. Ucz się po rusku szczerze, a po rachmańsku najlepiej. I po huculsku i po bojkowsku... — Nie kończyła już tych percepcji, zamiast tego płakała.

Siuniec wcale nie było śmiesznie. Pocałował Nianię w rękę i jadąc rozważał te słowa, jakby coś bardzo mądrego.

Połaźnie zawdzięczamy bardzo piękną huculską opowieść o Matce Boskiej i modlitwach kiermaniczów, którą zupełnie przypadkiem odkryłem, czytając pierwodruk *Prawdy Starowieku* z roku 1936. Ciekawe jest, że ten przepiękny fragment nie został włączony do żadnego powojennego wydania dzieł Vincenza.

Niania Połaźna opowiadała kiedyś, że Bogarodzica lubuje się w wodach, krąży nad wodami, a gdy ktoś płynie darabą, schyla się ona nad kołyską wód, ukolysze go i zabiera na tamten świat. Bardzo żałuje człowieka, bo wie, że go czekają same troski, cierpienia, męczarnie. Ludzie modlą się wtedy do świętego Mikołaja. On tak się z ludźmi obchodzi jak z dziećmi: niech mają co chcą, niech sobie żyją.

Cóż, to tylko tyle, i aż tyle, o „vincenzowej” Połaźnie. No może nie wszystko. Uzupełnieniem tych suchych faktów niech będą wspomnienia Stanisława Vincenza o Połaźnie, spisane przez Myrrhę Holzapfel<sup>3</sup>, zdaje się że pod jego dyktando, w Bystrzcu, zapewne w latach 1933–1934. Dodajmy, przedstawiony czytelnikom „Płaju” tekst o Połaźnie zachował się w rękopisie, co samo w sobie jest ewenementem. Być może przechowała go w czasie wojny w Szwajcarii sama Myrrha (po mężu Hausherr) i przekazała oryginał pisarzowi już po wojnie. Poniższy tekst przepisany został bezpośrednio z fragmentów trudno czytelnego rękopisu sporządzonego w Bystrzcu i nie był nigdy wcześniej opublikowany. Zwróćmy uwagę na wątki pojawiające się w późniejszej twórczości Pisarza: wirujące zamki nad Czar-



Myrrha Holzapfel i Andrzej Vincenz w 1930 r.  
na schodach domu w Bystrzcu (arch.Vincenz.pl)

nohorą, niedźwiedź-pobratym, Samael w Niebie i in. Jak widać, to wszystko z opowieści Połaźny. Zachowana została pisownia oryginału z niewielkimi tylko zmianami redakcyjnymi.

Przenieśmy się więc do Słobody Rungurskiej, do otoczonego szybami naftowymi domu Feliksa i Zofii Vincenzów, gdzie w ostatnie lata XIX w.

<sup>3</sup> Córka filozofa Rudolfa Marii Holzapfla, twórcy panidealizmu, którego w owym czasie Stanisław Vincenz był gorliwym wyznawcą i zaangażowanym działaczem.

Połahna<sup>4</sup>

*Oj, Stasyno, ty Stasyno, mamyna detyno  
 Tak 'y pływiesz sywym konem, dywyty se myło.  
 Ta czy tobie mołodeńki kołys se zdawało  
 aby u tebe na stołyczku derewce stojało.  
 Oj Stasyku sołodeńki, jakiś weselenkyj  
 Ta jak u tij Czornohori jawir zeleneńkyj.  
 (Oj wysoka połonynka z witrom howoryła  
 Koby jej i zaoraty, żyto by rodyla).  
 Jaka tota połonynka wesela, wesela,  
 Koły d'nej powychodjel oweczki iz sela.*

Połahna kołysała moją siostrę Maniusię, ale śpiewała dla mnie, gdyż byłem jej oczkiem w głowie. Maniusia krzyczała, co wzbudzało we mnie prawie że naukowe zainteresowanie, jak można tyle krzyczeć i właściwie w jakim celu. Nazywałem ją lala gałganiczka (przedtem jeszcze „jaja dadaniczta”). Próbowałem kłaść jej palec do buzi, który ona chwytiała i ssała, co znów wydawało się Połahnie dowodem jej złośliwości lub urwiszostwa. Toteż odsuwała mnie delikatnie, bojąc się całkiem widocznie, aby to małe „diablátko” coś mi nie zrobiło. Była to oczywista przesada, gdyż ja miałem niespełna 5 lat, a Maniusia była malutka. Coraz większymi posunięciami posuwała Połahna wózek dziecięcy na kółkach. Turkot wózka wzmagał się w miarę i równoległe do krzyku dziecka, które wreszcie, widocznie znużone, usnęło.

— A co to połonina, gdzie tak wysoko? — pytałem.

— To synku złoty tam gdzie Czarna Hora. Taka jest czarna, o czarna, stamtąd idzie deszcz, idzie grom i grad. Są tam skały i nary, i także pałace ze szkła, co się kręcą, a ktoby je zatrzymał, byłby królem. Tam niedźwiedź – wujko siedzi, w lesie ciemnym z żoną i dziećmi.

— A co to niedźwiedź, czy taki straszny?

— He, bywa on i straszny, mówią, że także z ludzi powstał, ale nie chciał być na wsi, nie chciał służyć w wojsku i robić pańszczyzny i tak zdziczał i obrósł. Ale dlatego nic złego człowiekowi nie robi.

Uspokoilem się nieco. Poszliśmy do mego pokoiku. Połahna spała ze mną. Zwykle zabierała na noc swoje weneckie korale i zapaskę i kładła się na tapczanie, który w dzień miał kształt stołu, a na noc rozsuwał się łagodnie. Była Połahna niezwykle znużona i prędko mnie układała. Lecz ja — wcześniej sobie ten zwyczaj przyswoilem, aby dumać, marzyć i planować po nocach, więc nie mogłem

<sup>4</sup> Archiwum SV, sygn. 17375/II

spać. Gdy Połahna dobrze już spała, podszedłem do niej, otworzyłem palcem jej oczy, mówiąc:

— Nie śpij Papo — tak ją nazywałem w skróceniu — bo ja nie śpię.

Połahna zbudziła się nieco przerażona i zanosła mnie z powrotem do łóżka.

— Czemu nie spisz lubczyku słodziutki, co ci się marzy detynko?

— Bo jak to ten dom szklany kręci się tam na połoninie?

Niania uśmiechnęła się, poszukała fajki, zapaliła i powiada:

— Tam mieszkają niedobrzy królowie, gazdowie. Ci, co zaprowadzili biedę na świat, i wojnę, służbę we wojsku i kryminały, i pańszczyznę. A wtedy niedźwiedź, który był dobrym gazdą, porzucił wszystko i stał się dziki. Ale ci królowie bardzo się tam męczą, ciągle chcą wyskoczyć z pałacu i nie mogą. I dzieci ich tam są i też wyjść nie mogą. A naokoło połonina złota, jak słońce — się śmieje, a las kiedrowy zielony szumi i woda gra, przygrywa, ze skał w przepaść skacze, a one nie mogą wyjść stamtąd.

— A czy można zatrzymać? — pyta dziecko.

— O, to może zatrzymać tylko dobry, dobry człowiek, taki co ma serce, jak to szkło czyste. Taki dobry, co wszystkich lubi: i biednego, i żebraka, i starego, i Żyda, i Cygana, zwierzęta, krówki i cielęta.

— A niedźwiedzie także musi lubić?

— Niedźwiedź mądry, nie straszny, i poznać, że chrześcijańską ma duszę: w sobotę myje się i modli się, powiadają. Zna każdą ścieżkę, wie gdzie skarby zakopane, ale nie powie i dlatego gdy zauważy człowieka z daleka ustępuje mu, ale ludzie gonią za nim. Ale niedźwiedzica, gdy ma małe, nie boi się i w obronie dzieci prędzej sama da się zabić i nawet goni człowieka. To mama dobra i mocna.

— Jak się ten pałac zatrzyma? — Dziecku widać nie daje to spokoju.

— Przyjdzie dobry człowiek, popatrzy, wzniesie jedną rękę: stańcie dwory, stańcie pałace i pałac stanie. Wzniesie drugą rękę, otworzą się wrota i wyjdą wszyscy ci biedni, zmęczeni grzesznicy. A on sam wejdzie do pałacu i będzie królem na całe góry.

Mały chłopczyk zamyślił się.

— No, ale to musi chyba być dorosły wielki król, taki jak tatko albo dziadzio.

— Pewnie, będzie to wielki Pan, albo wielki gazda. Ubierze wielki czerwony serdak lamowany złotem, ze złotymi guzikami, siądzie na konia karego, z daleka będzie się świecić — a kiedy wstąpi w pałac — uciekną chmury gradowe, znikną gromy, słońce będzie świecić, niebo nad połoninami będzie sine, ucichną wichry — bo „ten” ucieknie z Czarnohory.

— Co to jest „ten”? — zdziwiło się dziecko.

Połahna obejrzała się trwożliwie, pociągnęła fajeczkę i przeżegnała się.

— Pod noc nie można o tem mówić: to zły duch, przebrzydły gad.

— A czemu on zły?

— Bo przynosi grad i nieurodzaj i ludzie chorują, a bieda, oścista szelma, jego żona przeklęta, hula po głowach ludzkich, a ludzie głodują i płaczą.

Dziecko przestraszone nieco popatrzyło w górę i w okna.

— Nie, nie, ale do dobrego on nie ma przystępu. Jak tylko zobaczy dobrego, ucieka i piszczy ze strachu, a bieda leci za nim i gubi [*nieczytelne: pał(t)ynki*], wrzeszcząc i piszcząc w niebogłosey — uciekajmy bo dobry człowiek idzie.

Chłopczyk uśmiechnął się i zatarł ręce z zadowolenia.

— No i co będzie dalej z Królem?

— Zasiądzie w spokoju i będzie szczęśliwy, i całe góry, cały świat het aż daleko na Węgry, będzie szczęśliwy. Nie będzie przystępu dla smutku, nie będzie przystępu dla płaczu. Góry pełne będą chudoby najróżniejszej. Śliczne jabłka, i kukurydza i pszenica hen wysoko na połoninie się zrodzi. Hej, to będzie życie!

— Powiedz mi, Papo, a czy ja kiedy wyrosnę, czy zawsze będę taki mały, takie dziecko?

— Wyrośniesz, synku, będziesz wielki, śliczny, a może ty tym królem będziesz — rzekła, uśmiechając się pieszczotliwie i zagadkowo.

— Jesteś dobry, wszystkich lubisz i ciebie wszyscy lubią, moje ty złotko, moje jagniątko śliczne. Będziesz wielki, będziesz królem, popłyniesz koniem białym, stanie pałac i będą się śmiały połoniny.

Dziecko uśmiechnęło się z zachwytem. Jasnowiąsa głowa patrzyła w okno na gwiazdy.

— Hej, Polahniczko duszko, ale ty chyba pójdziesz ze mną, bo ja się trochę boję tego niedźwiedzia, a może ty jemu co powiesz.

— Pewnie, że powiem! Umieć przemawiać, ta przygadawać do niedźwiedzia, przygłaskiwać go, powiem: to nasz chłopiec panicz górski, słobodski, kryworowski — nie widzisz stary, poliz mu nóżki tak, tak, mruzc, mruzc grzecznie.



Petro Iwanowicz Rybeńczuk, ur. w 1879 r.  
krewny Polahny

— Ale ja nie chcę, żeby on mruczał, bo on może bardzo głośno mruczy.

— Nie mruczy głośno, synku, dobry on, stary wujko, czemnyj, kudłaty, to tylko ludzie niedobrzy, to tylko ludzie straszni.

Chłopczyk był zdziwiony.

— Jacy to są, ci niedobrzy ludzie, pewnie gdzieś bardzo daleko.

— Nie zobaczysz ty ich donyku nigdy, kniaźyć i królować będziesz, sokołyku! To tylko do biednego człowieka Hucuła ma dostęp bieda i zły człowiek. Przed tobą stary wujko niedźwiedź jakby jaki stróż będzie biegł naprzód – a źli ludzie będą uciekać, zmykać, portki gubić ze strachu.

Potahna.

tekst 67  
zapenne  
spred r. 1935

Oj, stasyno, ty stasyno, manyna delyno  
Tak ty pływiesz swym konem, dywizy se myto.

2. Va czy tobi molodenki Koly's se zdawito  
aby u tebe na stot ogrodu derewe stojato.

3. Oj, Stasysku otodenkyj, jakys weselenkyj  
Ta jak u tyj Czornohori jawer zlehen kyj.

(Oj wyroka potorynka z wiron hworoyta  
(Koby jes i zhoraty, izto by rodzita)  
Jaha tota potorynka wesela, wesela,  
Koly d'nej powyzhodjer b'wecchi ij seta.

Potahna Koly'sita moży scotba Manusia, ale spiewala dla mnie gody  
Bylem jej oglynem i glawie Manusia Krzyzjata, co wzbudzalo we mnie prapne  
naukowe zainteresowanie, jak mozna tyle Krzyzjata i co tascawie w jakim  
zelu. Nazwywalem ja, lala galjanjka (przedtem jezycze, jaja dadanizta)  
Próbowałem klasic jej palec do brzozi, który ona chwytała i ssala, co znów wyda-  
wało się Potahnie dawodem jej złościwości, lub urwizostwa. Toż odsmuśala  
mnie delikatnie, boję się całkiem wzdacnie, aby to małe, diabolatko co-  
mi nie proboto. Pytało to oczywiście przesada, gdyż ja miałem niepełna 5  
lat, a Manusia była nalutka. Coraz wżę kazy mi posunięciami pasciwala  
Potahna wozek dzeicy na Kolkad. Turkot wozka wzmagal się w miarę  
i równoległe do kazywa dziecka, które wreszcie wzdacnie znużone usnęto.

— A co to jest polonina, gdzie tak wysoko? pytałem. — To synku zloty, ten  
gdzie oparna dawa. Takie jest oparna, o oparne, stentogol idzie deszcz, idzie gr-  
grad. Są tam skały i nory i takie palce ze szpeta, co się wrzyc, a który je  
zobaczemat, byłoby Krotom. Tam niedźwiedź wyko świdzi w lesie ciemnym  
z żonami dziećmi. — A co to niedźwiedź, czy taki straszny? — He,  
bywa on i straszny, mówią, że także z ludzi powstał, ale nie chciał być  
na wozu, nie chciał stępić w wojskui robić panzyżony, i tak zdepcał i  
obrost. Ale dlatego nie złego otowrekowi nie rob.



— A potem będą już dobrzy?

— Bóg, świątyj Mikołaj i Bogarodzica Dziewa może to wiedzieć. Gdzie im łajdakom, zbójom, zrobić się dobrymi. Ot, gdyby Pany i cisary mieli rozum, toby to wszystko łajdactwo wytlukli.

— Jak ty myślisz tłukli, czy takim tłóczkiem od móździerza, ale to przecie boli!

— Nie – zerwała się Połaħna – po co to chodzi po świecie to złe nasienie z „tym” w zmwowie — oglądnęła się z lękiem i trzy razy przeżegnała.

— To trzeba zabić, zarąbać, wystrzelać.

Chłopczyk śmiał się wesoło [Syna Połaħny opryszki wciągnęli do bandy, a potem pobili go].

— Co ty wygadujesz. Tatko raz mówił żeś ty niemądra Połaħno, jak można strzelać, szkoda przecie, trzeba ich naprawić, aby byli dobrzy, grzeczni, kochani, cacy.

— Gdzie ty synku, naprawisz tych zbójów, tych szubieniczników, tych Judaszów, kto to potrafi, takiego majstra niema.

— Już znajdują się gdzieś na świecie tacy mądrzy.

Poczem dodał po chwili zadumy:

— Gdy ja pojedę na białym koniu do szklanego pałacu na Smotryczu, a niedźwiedź będzie biegł przede mną i ryczał — ale tylko trochę — to wtedy może oni wszyscy się naprawią, prawda Połaħniczko złota?

Połaħna jakoby dała za wygraną:

— Może to i tak będzie, synku, może to i będzie. Że siła złego na świecie, może ty prawdę mówisz, bo i Pan Bóg święty miłosierny spuszcza Judę Archijudę z kajdanów na próbę na Święty Wieczór na Boże Narodzenie. A nuż się poprawi. Ale lichu mu się tam poprawić.

— A co to ten Juda Archijuda?

— Juda zradnyk był kiedyś człowiekiem, ale potem przeszedł do „tych” i stał się ich Królem. Pan Święty i Bóg nasz posłał Gabrjela Świętego skrzydlatego, a ten przykuł go do skały na łańcuchu, ale on komenderuje tymi czartami, dowodzi, bo oni za głupi i nie mieliby rozumu, aby ciągle ludziom szkodzić, a on ma ludzki rozum i wszędzie nimi dyryguje.

Jakaś chmura legła na twarzy dziecka.

— Wiesz, nie mów tego, to pewnie nieprawda, to tylko gadki jakiegoś nianiu moja, to jakieś głupstwa. Gdzieżby człowiek mógł stać się królem djabłów.

Połaħna przeżegnała się przed tak strasznym słowem.

— Tak dziecinko, tak syneczku, człowiek może wiele, jak zechce i złego, ale i dobrego, o bardzo wiele. Tak mówił Książd na kazaniu. Święty Mikołaj był człowiekiem, a dzisiaj zasiada na gwiazdach ze świętym Panem Bogiem naszym i jest



Drzwi rodzinnej chaty Połahny

Chłopczyk pochylił się ku oknu i natężył słuch. Połahna prędko z zabobonnym łukiem odsunęła się od okna.

— Nie, mój malutki, nikt na ziemi nie słyszy tego śpiewu, chyba, że ma już odejść — tam. Mój nieboszczyk diecja słyszał śpiewanie anielskie kiedy umierał, a my jak głusi, jak pień, tylko się dziwowaliśmy i nic nie słyszeli.

— A jak ludzie umierają? — pytał chłopak.

W tej chwili widocznie goście już pojechali i mama moja usłyszawszy pogwar naszych głosów weszła do pokoju:

— O wy, nicponie, jeszcze gadacie, a ty stara mądrało nie dajesz dziecku spać — rzekła żartobliwie, pieszcząc mnie czule i nakrywając kolderką.

— Nie, mameczko, to ja jej otworzyłem oczy, bo ona lubi spać w nocy, a ja nie lubię.

Połahna, niezmiernie czuła, bezwzględnie ustępliwa wobec mnie, była nieco ostra wobec mojej mamy.

— Albo to pani zrozumie, ot tylko fortepiany i fortepiany, a to jest delikatna detyna. Detyna na ciłyj świt. To jest rabin, hołowa czemnyj, czemnyj chłopiec, chce wiedzieć o górach, połoninach o ludzkiej i bożej prawdzie.

Nie było to sprawiedliwe w stosunku do mojej mamy, która nieraz opowiadała mi o górach, i stale, sama tęskniąc za rodzinnym domem, starym dworem w górach, przelewała na mnie swoją tęsknotę i zdawało mi się, że raj na ziemi jest tam gdzie ciągle szumi Czeremosz, a wokół stoją, jak Boże pomniki, cudne góry.

gazdą świętym bożych kościołów świecących.

— Jakich Kościołów Papo?

— Popatrz, synku przez okno, ile tam świateł się świeci.

Zimowe niebo górskiej nocy wyiskrzzone było gwiazdami. Może Orjon, a może Syrjusz — szafirowe, różowe i brylantowe światła uderzyły oczy dziecka.

— Widzisz donyku, widzisz mój najlepszy, mój gołąbku. Tam są kościoły anielskie po całym niebie rozsiane. Tam cieszą się, tam radują dusze dobre, dusze błogosławione, anioly świecące Boże i śpiewają: sława, sława Hospodu światomu. To prawda, synku, prawdziwa. Tak opowiadał nam stary nasz wiszczun, człowiek święty, wszystkiego świadomy.